Nr. 25. Lwów — 1888 r. Rok XI.

Numer pojedyńczy 15 ct.

GONIEC

Numer pojedyńczy 15 ct.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH.

„Goniec“ i „Iskra“ wychodzą każde po dwa razy na miesiąc — razem cztery razy. Oprócz tego tak do „Gońca“ jak i do „Iskry“ dołącza się stale osobny **Dodatek powieściowy** dla wszystkich prenumeratorów. Prenumerata *na obydwa pisma z dodatkiem powieściowym* wynosi tak w miejscu, jak i naprowincji kwartalnie: 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W Poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce i innych zaoceanowych krajach 20 franków (4 dolary) rocznie — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w lista chrekomendowanych.* Listy powinny być frankowane. Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora. Za odnoszenie do mieszkania numerów, dopłaca się roznosicielowi 5 ct. miesięcznie.

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.

Zmiana lokalu.

W tych dniach Redakcja i Administracja „Gońca“ i „Iskry“ przeniosła się z dotychczasowego lokalu *na ulicę Kraszewskiego l. 23 II. piętro od frontu.*

Od Administracji.

Usilnie prosimy szanownych prenumeratorów o odesłanie zaległej i bieżącej prenumeraty. Wydawnictwo ma liczne wydatki i wszelkie zaległości są bardzo uciążliwe. Sądzimy też, iż jest obywatelskim obowiązkiem popierać uczciwą pracę pism polskich, a nie lekceważyć ich interesa i krzywdę im wyrządzać.

Prenumeratę najdogodniej przesełać przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych do: *Administracji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie.*

Nowo przybywający prenumeratorowie otrzymują początek drukującej się w *dodatku powieściowym* do „Gońca“ i „Iskry“ powieści większej: **Nasze Życie.**

Po śmierci cesarza Fryderyka.

Spodziewana, co chwila, oddawna śmierć cesarza Fryderyka, wywołała jednak wrażenie w całej Europie, jakby się spełnił fakt, wcale niespodziewany... Bądź, co bądź, ludzie wierzą w siłę dobrą, dodatnią — ludzką i zdaje im się, że ręka boża zachowa tę siłę dla dobra i szczęścia ludzkości — ale wyroki Opatrzności są niezbadane i często to, co szlachetne, łamie się pod ciosami codziennego życia ludzkiego...

Umrzeć musi prostak, co się broni ostatnimi łachmanami od zagłady i umrzeć musi monarcha w purpurze, w sile wieku, skrępowany niemocą i pomimo największych wysileń, nie mogący nic okazać, oprócz... dobrych chęci...

Tak jest — panujący zaledwie trzy miesiące cesarz Fryderyk, powalony na łoże boleści, niemy i borykający się ze śmiercią, nie okazał, nie zdziałał nic, oprócz dobrych chęci...

Należy bo trzeźwo patrzeć na to, co jest naturą rządów pruskich... Aby je zmienić i przerzucić na inną drogę, potrzeba nie pasującego się z życiem monarchy, lecz człowieka o wielkiej sile ducha i ciała, któryby stworzył następców swojej myśli, swoich planów, swoich ideałów i swoich politycznych celów...

Czy cesarz Fryderyk, gdyby był zdrów i żył długo zmieniłby politykę pruską i przerzucił ją na ludzkościowy gościniec — to jest jeszcze wielkie pytanie — ale, że pragnął iść po innej drodze, aniżeli szli jego poprzednicy, to nie ulega najmniejszej wątpliwości...

My, polacy, okrwawieni i opluci, w obec świeżej mogiły monarchy pod panowaniem którego znajduje się część naszej ojczystej ziemi, stoimy i powinniśmy stać zasmuceni nie dla tego, aby do rządów zmarłego cesarza należało przywiązywać jakieś nadzieje lepszej dla nas przyszłości, lecz z tego powodu, że zgasł monarcha, który na sprawy ludzkie zapatrywał się z wyższego stanowiska ludzkiego, a to już musi być rękojmią pewnej sprawiedliwości polityczno-społecznej...

Syn zmarłego pruskiego monarchy Wilhelm II-gi przychodzi do panowania nie pod szczęśliwą gwiazdą — zrozumiał on to od razu i jednym tchem, zanim jeszcze ostygły zwłoki szlachetnego ojca, odwołał się zaraz do siły, do armji swojej, na której myśli się oprzeć tylko i na tem oparciu rządzić, sądzić i panować... Czy ta droga daleko go zaprowadzi w obec krzyżujących się interesów państw europejskich, to kwestja bardzo problematyczna tem więcej, że książę Bismark zestarzał się widocznie i pomimo wielkiego politycznego rozumu, staje się, co raz bardziej małostkowy, zaciekły, fanatyczny i nie odczuwający nowych prądów politycznych...

Stoimy, bez najmniejszej wątpliwości, w przededniu dziejowych wypadków, które wpłyną na zmianę całej konfiguracji Europy...

Długoż trwać będzie ten *przeddzień?*

Może i nie tak długo, jakby się zdawać mogło nie jednemu wytrawnemu politykowi — tymczasem, z chwilą wstąpienia na tron Wilhelma II-go, pomimo zapowiedzi nowego cesarza niemieckiego, że w stosunkach polityki zagranicznej nic się nie zmieni — powszechne zbrojenie się państwa w Europie pójdzie w przyśpieszonym tempie i, choć wszyscy i ciągle prawić będą o pokoju, nikt w niego wierzyć nie będzie, a wojna wielka, jest tylko kwestją czasu.



Władysław hrabia Badeni.

(Rysowano z dawniejszego portretu. — Patrz wspomnienie pośmiertne pod tymże tytułem).

Od ręki.

═ Ciekawe przedsiębiorstwo...

Był raz taki młody człowiek, który się wybrał na bal, ale cała garderoba na nim była... pożyczona, a co gorsza każda część tej garderoby pochodziła od innego właściciela... Na balu zaszła sprzeczka pomiędzy młodym człowiekiem, a właścicielami garderoby i młody człowiek wyszedł z balu... w samej bieliźnie...

Otóż, w takiem samem położeniu, jest ten Born, który jeździ z cyrkiem po Galicji. Nędzna to prawda buda jarmarczna, ale i taka, jaka jest posiada mnóstwo właścicieli jeżdżących razem z panem Bornem, który, wyraźnie, ma tylko trzy konie i daje firmę, nota bene, p r u s k ą f i r m ę... Jeżeli tedy przyjdzie do jakichciś scysyj pomiędzy właścicielami tego pruskiego cyrku, to p. Born zaprzęgnie sobie swoje trzy konie do wózka i zabrawszy parę „czarujących dziewic cyrkowych“ w pośród których najwięcej przebywa, odjedzie do Berlina i rozłoży swoje penaty w jakimś „popularnem“ tingel-tanglu skarżąc się na barbarzyństwo polaków...

═ **Alarm.**

Na alarm uderzono w rynku lwowskim, w którego kamienicy l. 9. umarł na tyfus plamisty ś. p. Amałowicz, majster szewcki. Zmarły wprawdzie chorował tylko trzy dni, ale czy rzeczywiście był to tyfus plamisty — oprócz plotkarskich wersyj kumoszek i innych tego rodzaju krzyżujących się wiadomości, nic pod tym względem pewnego nie wiadomo. Że władza miejska przedsięwzięła wszelkie środki ostrożności, to jej się, oczywiście, chwali, ale, że mieszkańcy

domu, należący do inteligencji, przyczyniają się do niepotrzebnej paniki i dają przykład tchórzostwa, to jest rzeczą pożałowania godną... W domu tym mieszka p. Marek, znany muzyk — pierwszy on urządził z tego domu *fugas chrustas*, a jak nawet złośliwi utrzymują, schodził na ulicę przez okno po drabinie... To się nazywa odwaga i rozczulającą pieczołowitość o swoje zdrowie...

═ Wyścigi konne we Lwowie.

Po co właściwie są wyścigi w ogóle, tego najzapaleńszy wyścigowiec uzasadnić nie potrafi, bo takie argumenta, jak uszlachetnianie rasy i t. p. — to są po prostu argumenta na wiatr... Co komu z takiej rasy przyjdzie, że jeden koń drugiego wyścignie?... Rozumiemy tylko wyścigi z prawdziwemi przeszkodami i z niebezpieczeństwem osobistem jeźdźca połączone, bo tym sposobem hartuje się odwaga, wyrabia się zaradność i energja, ale w takim razie nie powinien się ścigać najęty dżokej, lecz sam właściciel konia...

Co do naszych wyścigów lwowskich i w ogóle końskich spraw, to cała działalność pod tym względem, schodzi do zera... Krajowe konie, nietylko się nie poprawiają, ale n. p. włościanie we wschodniej, szczególniej Galicji zaprzęgają do pługa i wozu źrebięta i konie ich są nie wiele większe od dużych psów, a przytem zamęczone, nędzne — prawdziwe uosobienie biedy... Cóż z tego, że w karecie grzmi piękna czwórka, że wierzchowe konie panów są piękne, kiedy biedny inwentarz roboczy dworski i włościański patrzy ciągle jednem okiem na tamten świat...

Proszę zobaczyć, jak wyglądają konie robocze w Niemczech, w Anglji, we Francji — a wtedy można się przekonać, co znaczy racjonalny chów koni, a nie zabawka końska jaka się praktykuje u nas.

Władysław hrabia Badeni.

Wspomnienie pośmiertne.

(Do portretu).

Zmarły ś. p. Władysław Badeni, od wielu lat poseł na Sejm i członek Wydziału krajowego którego wizerunek w dzisiejszym numerze podajemy — należał do tych typowych postaci w dobrym stylu, ktore, coraz bardziej znikają wśród naszego społeczeństwa, a których młodsze pokolenie, wydać z siebie nie może, nie dlatego, aby było odarte z tych cnót obywatelskich składających się na takie postacie, lecz inne czasy, warunki życia i okoliczności, urabiają inną fizjonomję wybitnych jednostek.

Władysław Badeni, jako mąż polityczny, naturalnie, należał do obozu konserwatystów, na wszelkie hazardy nie zgadzał się nigdy i nad wszystko przekładał naturalny i organiczny rozwój przy bezustannej pracy i radzeniu samemu sobie. Jako polak nie przyłożyłby nigdy ręki do niczego, coby w jakikolwiek sposób dotykało rdzennych interesów moralnych naszej narodowości i pod tym względem miał zawsze odwagę wypowiedzenia swoich zapatrywań nawet tam gdzieby się najmniej ich spodziewano...

O ś. p. Władysławie Badenim można najsprawiedliwiej powiedzieć, że na każdym kroku licząc się z tem, co go otacza, z okolicznościami wśród których pracować należy — kochał przeszłość swego narodu i wierzył w lepszą przyszłość... Te zasady wpoił w synów swoich, których wychował na dobrych i pożytecznych obywateli przynoszących zaszczyt pamięci ojca...

Zmarły odznaczał się wielkiemi zdolnościami administracyjnemi, a jako przewodniczący departamentu dróg w Galicji, położył rzetelne i nie małe zasługi.

Z rodu i majątku należący do prawdziwej arystokracji, ś. p. Władysław Badeni posiadając piękne przymioty charakteru i serca, był popularnym, przystępnym i zawsze czułym na to, co kogo bolało — z pomocną ręką spieszył bez reklamy chętnie i szybko...

Zmarły liczył lat 60 — pozostawił wdowę i dwóch synów, z których jeden jest członkiem krajowej Rady szkolnej, a drugi, był do niedawna delegatem Namiestnictwa w Krakowie — obadwa zaś są posłami na sejm krajowy, a pod względem fortuny majątkowej należą do bogatych rodzin polskich.

»Rzeczy widziane«.

(Z pośmiertnych rękopismów Wiktora Hugo).

Więzienie skazanych na śmierć.

Parę dni temu zwiedzając więzienia skazanych na śmierć, rzekłem do dyrektora, który mi towarzyszył:

— Macie tutaj jednego skazanego na śmierć, wszak prawda?

— Tak jest panie, nazywa się Marquis, próbował zabić dziewczynę nożem, a potem ją okraść.

— Chciałbym, — rzekłem, — pomówić z tym człowiekiem.

— Panie, — rzekł dyrektor, — jestem tu po to, abym słuchał pańskich rozkazów, ale nie mogę pana do skazanego zaprowadzić.

— Dla czego?

— Bo rozporządzenia policyjne zabraniają nam to czynić. Nikogo do celi skazanych na śmierć wpuszczać nam nie wolno.

Odrzekłem:

— Nie wiem, panie dyrektorze więzienia, co nakazuje policja, ale wiem jakie są przepisy prawa. Prawo umieściło więzienia pod opieką izb, to prawo, które poruczyło parom obowiązek czuwania nad samymi ministrami, których mogą sądzić nawet. Wszędzie, gdzie może być nadużycie, prawodawca powinien mieć możność wejść i przekonać się o niem. Może są rzeczy niedobre i w celi skazanego na śmierć. Moim obowiązkiem jest wejść, a pańskim otworzyć mi.

Dyrektor nic nie odrzekł i poszedł ze mną.

Minęliśmy niewielki dziedziniec z kwaterami kwiatów, otoczony galerją. Jest to wyłączne miejsce przechadzki skazanych na śmierć. Dokoła tyły czterech wysokich oficyn, zasłaniają wszelki widok z wyjątkiem nieba. Pośrodku jednej galerji dostrzegłem sążnistą bramę z okuciami i wielkimi ryglami żelaznemi. Stróż więzienny otworzył je i znaleźliśmy się w obszernym, nawpół ciemnym przedsionku, wyłożonym płytami kamiennemi. Przed nami widać było troje ciężkich drzwi: jedne wprost, drugie z prawej, trzecie z lewej strony. Były to drzwi wiodące do cel przeznaczonych dla skazanych na śmierć, którzy oczekują losu swego po wyroku, a w trakcie kasacji i podania się do łaski, co trwa zazwyczaj około dwóch miesięcy.

— Do tej pory — rzekł dyrektor — nigdy nie było współcześnie więcej cel zajętych nad dwie.

Otwarto drzwi środkowe. Cela środkowa była właśnie zajęta w tej chwili.

Wszedłem.

Na mój widok podniósł się jakiś człowiek siedzący w głębi i stanął.

Zamglone światło dzienne, padające z umieszczonego pod pułapem okna osłoniętego futerałem, oświecało tę postać z tyłu. Ów człowiek miał głowę obnażoną, ubrany był w pantalony i kaftan z grubego materjału. Miał obuwie na nogach. W ręku trzymał fajkę, którą zbierał się właśnie zapalić, gdyśmy wchodzili.

Był to skazaniec.

Przez okno dojrzeć można było tylko skrawek nieba szarego, dżdżystego.

Nastała chwila ogólnego milczenia. Tyle najróżnorodniejszych wrażeń doznawałem w tej chwili, że nie byłem w stanie słowa wymówić.

Był to młody zupełnie człowiek. Miał lat ze dwadzieścia dwa, trzy najwyżej. Włosy miał ciemne, krótko przystrzyżone, brodę w nieładzie, oczy wielkie i wyraziste, ale spojrzenie niewyraźne, brzydkie, nos spłaszczony, skronie wydatne, kościste, kości zausznе duże, wystające, co jest złym znakiem, czoło niskie, usta niemiłe, ściągnięte i wzdęte ku lewej stronie od dołu, w sposób znamionujący trwogę. Był blady. Cała postać, zresztą, zdradzała widoczny niepokój, jakkolwiek usiłował, gdyśmy wchodzili, złożyć usta do uśmiechu.

Po lewej stronie więzienia, stało łóżko ordynarne i w nieładzie świadczącym, że tylko co więzień leżał na niem. Z prawej strony znajdował się stolik malowany na żółto, nad nim półka z glinianemi gładkiemi miseczkami, na których dostrzedz można było trochę jarzyn gotowanych i mięsa, kawałek chleba, obok zaś kapciuch skórzany z tytoniem. Przy stoliku widać było proste krzesełko wyplatane.

Sama izba nie była tak straszna jak ta, którą widziałem w Conciergerie. Pomalowana na żółto, dość widna, nie zdawała się mieć w sobie nic groźnego. Wszystko było tu czyste, trzymane w porządku, powietrza było w miarę, podłoga zamieciona. Okno opatrzone podwójną kratą było otwarte. W kącie koło pieca stało dwóch ludzi: żołnierz z szablą u boku i stróż więzienny. Każdy skazaniec ma przy sobie taką straż dniem i nocą.

W pierwszej chwili nie objąłem tego wszystkiego. Skazaniec pochłaniał całą moją uwagę.

Dyrektor przerwał pierwsze milczenie.

— Marquis — rzekł do więźnia — ten pan pragnął cię widzieć.

— Panie — rzekłem z kolei — jeżeli masz jakie żądanie, powiedz, po to tu przyszedłem.

Skazaniec skłonił się i z uśmiechem bolesnym, który przejął mnie, odrzekł:

— Nie mam powodu skarżyć się na nic; jest mi tu dobrze. Ci panowie (tu wskazał ręką na straż), są tak dobrzy, że rozmawiają ze mną. Pan dyrektor odwiedza mnie czasami.

— Pożywienie, czy jest dobre? — spytałem.

— Bardzo dobre, panie, dostaję podwójną rację.

Po chwili dodał:

— *My* tutaj mamy prawo do podwójnej racji. Przytem mam chleb biały.

Spojrzałem na kawałek chleba. Był istotnie bardzo biały.

Skazaniec mówił dalej:

— Chleb więzienny to jedyna rzecz, do której nie mógłbym się przyzwyczaić. U świętej Pelagji, w więzieniu w którem byłem poprzednio, było nas kilku młodych ludzi, cośmy trzymali ze sobą, aby nas nie mięszali z innymi i dawali nam chleb biały.

— Czy lepiej panu było u św. Pelagii? — zapytałem.

— Dobrze mi było i tam, dobrze i tu.

— Mówiłeś pan, że nie chcieliście, aby was mieszano z *innymi*. Co pan rozumie pod tym wyrazem „z innymi“?

— To jest, widzi pan, tam było wielu ludzi ordynarnych razem z nami.

Skazaniec był synem odźwiernego z pewnego domu przy ulicy Chabanais.

— Czy łóżko jest dobre? spytałem.

Dyrektor uchylił prześcieradło i rzekł:

— Widzi pan dobrodziej, aż dwa wyborne materace i po dwie kołdry także.

— I dwie poduszki — dodał Marquis.

— Sypiasz pan dobrze?

Odrzekł bez wahania:

— Bardzo dobrze.

Na łóżku leżała książka otwarta.

— Pan czytałeś?

— Tak jest — czytałem.

Był to mały kurs geografji i historji jeszcze z przed lat 50-ciu. Brakowało części okładki i pierwszych kart. Książka była otwarta na opisie jeziora Kostancjeńskiego.

— To ja — rzekł dyrektor — pożyczyłem mu tej książki.

— Zajmuje pana ta książka? — spytałem.

— Dosyć. Pan dyrektor pożyczył mi także podróże Lapeyrousa i Cooka. — Lubię przygody wielkich żeglarzy. Już je czytałem, ale czytam je z przyjemnością ponownie i jeszcze je *czytać będę* chętnie *za rok, czy za lat dziesięć.*

Nie powiedział „czytałbym“, tylko „czytać będę“. — Biedny chłopiec rozmawiał zdaje się z wielką przyjemnością, używając przytem terminów poczerpniętych z dzienników. Był też nienaturalny, miał styl dziennikarski, zauważyłem to w ciągu całej rozmowy. Wszystko ustępuje w obec grozy śmierci, z wyjątkiem afektacji. Dobroć znika, złość ustępuje, człowiek łagodny staje się gorzkim, szorstko-łagodnym; człowiek afektowany pozostaje sobą. Rzecz dziwna, śmierć nawet nie przerobi afektacji na prostotę.

Był to rękodzielnik zanadto i zamało utalentowany, którego próżność zgubiła. Lubił pokazać się, używać, gdy się dało i udawać, że się używa, gdy nie było za co. Pewnego poranku wyciągnął ojcu z komody sto franków, przehulał w parę dni, a potem zamordował jakąś dziewczynę po to, aby ją okraść. Tę długą przestrzeń, która prowadzi od pierwszego napomnienia ojcowskiego do rusztowania, a na przebycie której zbrodniarze zazwyczaj dwadzieścia lat potrzebują, on odbył w kilkadziesiąt godzin.

Co za otchłań w takiem przeznaczeniu!

Wczoraj dziecko, dziś zbrodniarz wytrawny!

Stał i przewracał kartki w książce.

— Czy pan nie miałeś — rzekłem — żadnego sposobu do życia?

Podniósł głowę i z pewnym rodzajem godności czy dumy rzekł:

— Owszem, panie.

Poczem widząc, że nie pytam o więcej, zaczął mówić dalej:

— Robiłem rysunki mebli, uczyłem się nawet budownictwa. Czyniłem także starania, aby założyć pismo poświęcone mojemu fachowi. Wykonałem kilka pięknych wzorów w stylu odrodzenia dla tapicerów. Oni tego nie znają nawet.

— To była dobra myśl. Dlaczego jej pan nie doprowadziłeś do skutku?

— Nieudało się jakoś. Jakkolwiek nie mogę powiedzieć, żeby mi było brak pieniędzy. Miałem dość talentu; sprzedawałem swoje rysunki; z pewnością doszedłbym do tego, że sprzedawałbym je po takiej cenie, po jakiej sam zechciałbym.

— A więc?... rzekłem.

— Doprawdy nie wiem — odrzekł powoli. — Szał jakiś mnie opanował. Nigdybym nie myślał, że byłbym zdolny do takiej rzeczy, aż do owego dnia fatalnego.

Zamilkł na chwilę, poczem mówił dalej głosem spokojnym już, obojętnym:

— Szkoda, że nie mam tutaj rysunków, pokazałbym je panu. Robiłem też pejzaże, a pan Le Duc nauczył mnie akwareli. Lubię bardzo rysować. U świętej Pelagji narysowałem portrety kilku moich towarzyszów, ale ołówkiem tylko. Nie pozwolono mi sprowadzić pudełka z akwarelami.

— Dla czego? — spytałem machinalnie.

Zawahał się, i żałowałem już pytania mego, bo domyśliłem się motywu.

— Obawiano się, żeby nie było trucizny w farbach. Chociaż to niemożebne, bo farby są na wodzie.

— Jednak bywają i trujące — wtrącił dyrektor.

— Być może zresztą. Dość, że nie pozwolono, i musiałem poprzestać na ołówku. Portrety były mimo to bardzo podobne.

— A tutaj, co pan robi?

— Zajmuję się jak mogę...

Zamyślił się, poczem rzekł:

— Rysowałbym chociaż kaftan przeszkadza. Ci panowie (tu wskazał na straż) są tak dobrzy, że pozwalają mi zdejmować kaftan. Ale mam co innego do roboty. Czytam.

— Widuje pan zapewne kapelana?

— Tak jest. Bywa tutaj.

Odwrócił się do dyrektora i rzekł:

— Ale nie widziałem jeszcze księdza Montés.

Nazwisko to w tych ustach wydało mi się straszliwem. Raz tylko w życiu widziałem księdza Montés. Było to w piękny dzień letni. Jechał na furgonie obok Louvela, którego dysponował na stracenie.

Dyrektor odrzekł:

— Ach, już jest stary, ma 86 lat. Pełni swą służbę tylko, o ile mu siły pozwalają.

— Czy podobna — rzekłem — już jest w takim wieku? Ależ to tem lepiej. Człowiek w tym wieku tak już bliskim jest Boga, że wiele pięknych rzeczy powiedzieć umie.

— Z przyjemnością oglądałbym go — rzekł Marquis spokojnie.

— Panie — rzekłem — trzeba mieć nadzieję.

— O, ja bynajmniej jej nie tracę. Najpierw mogę iść do kassacji, a potem udać się do łaski. Wyrok może być skasowany. Nie powiem, że wyrok ten jest niesprawiedliwy, ale jest za surowy cokolwiek. Mogli uwzględnić mój wiek i przyznać okoliczności łagodzące. Ojciec mój, który tutaj bywa, powiada, że mogę być spokojny. Przytem sam pan Le Duc, mój mistrz, wręczy podanie krolowi, a król nigdy mu nic nie odmawia. Niepodobna, aby mnie nie ułaskawił i nie darował, nie powiem wszystkiego, ale..

Umilkł.

— O, tak jest — rzekłem — miej pan nadzieję. Tutaj na ziemi, masz pan z jednej strony sędziów, a z drugiej ojca. Ale tam, na tamtym świecie, masz pan w jednej osobie ojca i sędziego — Boga, który nie może jedynie chcieć potępienia twego, nie czując zarazem chęci przebaczenia. Miej więc nadzieję!

— Dziękuję panu — rzekł Marquis.

Nastała chwila milczenia.

— Czy masz pan jakie żadanie? — spytałem.

— Chciałbym częściej wychodzić i przechadzać się po dziedzińcu. To jest wszystko. Wychodzę zaledwie na jeden kwadrans codzień.

— To zbyt mało — rzekłem zwracając się do dyrektora. — Czemu tak mało?

— Tak ogromna odpowiedzialność na nas ciąży — odrzekł dyrektor.

— A więc dajcie czterech stróżów zamiast dwóch, ale nie odmawiajcie temu człowiekowi powietrza i słońca. Dziedziniec leży w samym środku więzienia; na wszystkie strony zamki, kraty, rygle; cztery wysokie ściany dokoła, straże i szyldwachy wszędzie, kaftan krępujący ruchy, czegoż chcecie jeszcze? Więzień powinien mieć przechadzkę na tym dziedzińcu, ilekroć jej zażąda.

Dyrektor skinął głową i rzekł:

— Słuszne są pańskie słowa, uczynię tak, jak pan mówi.

Skazaniec podziękował mi gorąco.

— Już na mnie czas — rzekłem — odejść muszę. Zwróć się ku Bogu i ufaj.

— Będę ufał — odrzekł.

Odprowadził mnie do progu swej celi. Gdym przestąpił próg, drzwi za mną się zamknęły.

Dyrektor wprowadził mnie do celi sąsiedniej. Była cokolwiek dłuższa od tamtej, miała tylko łóżko i dzbanek z ordynarnej gliny.

— Tutaj — rzekł był zamknięty Poulman. W ciągu sześciu tygodni tutaj spędzonych, zużył trzy pary ciżem chodząc po tej podłodze; nawet podłogę starł cokolwiek; chodził bezustannie i jakie kilkanaście mil na dobę w tej celi.

— Czy miałeś pan Józefa Henri? — spytałem.

— Miałem, ale tylko w infirmerji, był chory. Ten znowu pisał listy, to do kanclerza, to do prokuratora, to do referendarza wielkiego, Bóg wie do kogo. I to wszystko drobniutkiem pismem. Powiedziałem mu raz z uśmiechem: — dobrze, że pan nie jesteś zmuszony czytać tego co piszesz. — Zdaje mi się też że nikt ich nie czytał. To był warjat...

Kiedyśmy wychodzili, dyrektor pokazał mi drogi dla szyldwachów. Wysokie mury zasłaniają widok zewnętrzny, u stóp rosną smutnie kępki trawy, co kilkadziesiąt kroków budka. Pokazał mi miejsce pod oknami skazanych na śmierć, na którem zeszłego roku dwóch szyldwachów odebrało sobie życie, włożywszy lufy karabinów w usta. Widać jeszcze ślady kuli na jednej budce. Deszcze zimowe zmyły ślady krwi na ścianach. Jeden z nich zabił się dlatego, że oficer ujrzawszy go bez karabina (zostawił go w budce) rzekł przechodząc: dwa tygodnie aresztu. Drugi zabił się, nie wiadomo dotąd z jakiego powodu.

Teatr.

W rozkwitającym w całej pełni sezonie ogórkowym, po wyjeździe p. Lüde do Warszawy, nie mamy nic do sprawozdania z desek teatralnych — dzielimy się tylko zwykłem doniesieniem, że w tym czasie, na gościnne występy przybywa z Warszawy znany i utalentowany artysta p. Leszczyński, którego repertoar przeważnie tragiczny, zdoła ożywić na pewien czas scenę naszą, której, zresztą, nawet wśród lata i umarłego sezonu, powodzi się dobrze.

Operetka nasza w Krakowie, cieszy się niezwykłem powodzeniem, a nowozaangażowany tenor pan Jerzyna, pozyskał sympatję i uznanie tamtejszej krytyki.

W początkach lipca, lwowski personal dramatyczny wyjeżdża do Krynicy i zabawi tam, mniej więcej, sześć tygodni.

Z różnych pism.

Chemik londyński, niejaki Thomson, wynalazł nowy sposób łączenia metali. Wynalazek ten wywoła ogromny przewrót w wielu gałęziach techniki. Metal utworzony przez Thomsona z mieszaniny innych metali, posiada własność, że ogrzany do 175 stopni Celsiusa, daje się dowolnie formować. W skutek tego kosztowne lanie i formowanie metali stałoby się zbytecznem, a sztuka kowalska uległaby zupełnej reformie. Drugą ważną własność tego metalu ma być to, że można mu nadawać dowolny stopień twardości, a dokonać tego można za pomocą kwasu, którego skład wynalazca trzyma w tajemnicy. Pisma angielskie donoszą, że w Londynie utworzyła się już spółka kapitalistów, którzy wynalazek ów zamierzają wyzyskać.

„Mechanical Wordl“.

Rośliny mogące zastąpić szparagi. Tak zwane „korzonki owsiane“, czyli „kozibrod“, albo salcefia (Tragopogon ponifolius), z powodu delikatnego swego smaku, zwane w Anglji „roślinną ostrygą“ pozostawione na zimę w gruncie, wypuszczają na wiosnę delikatne pędy dające się używać zupełnie tak, jak szparagi. Chwalą bardzo tę potrawę zwłaszcza, że jej pora wcześniejszą jest od szparagów. Inną znowu jarzynę w tym rodzaju stanowią młode pędy kalarepy. Rośliny w tym celu przykrywają się warstwą piasku, grubą na 8 do 10 cali Skoro w tej pokrywie utworzą się szpary, piasek się odrzuca i odkrywa młode białe pędy, które się wycinają i przyprawiają zupełnie tak, jak szparagi. Kalarepę można zasadzić w jesieni i przykryć dobrze ziemią; pod tą pokrywą wytrzyma dobrze zimę. Młode pędy kardów (carduus marianus) zdatne są również do podobnego użytku, oraz rdest japoński (polygonum Sieboldi). Nie trzeba go ochraniać od przystępu światła, gdyż pędy jego, chociaż zielone, mają smak bardzo delikatny nieco kwaskowaty, do którego jednak łatwo się przyzwyczaić. Zaletą ich jest ta, że ukazują się na wiosnę wcześnie i w wielkiej obfitości. Młode, zielone listki mogą zastąpić szpinak.

„Ziemianin“.

„Polak w Ameryce“ pismo wychodzące dwa razy na tydzień w East-Bufalo ostrzegając przed emigrowaniem do Ameryki, między innemi tak pisze:

„Tą chorobą emigrowania zarażona jest przeważnie ludność wiejska, uboższa, mniej wykształcona. — Ale są w Polsce prowincje, od czasu do czasu dostarczające emigrantów z inteligencji, którzy wyperswadować sobie nie dadzą, że w Ameryce łatwiej i lżej wyrobić sobie choć znośne stanowisko. Pod tym względem prym trzyma Galicja i niektóre gubernie litewskie. Jeżeli widzisz tu przed sobą inteligentnego chłopca, lat kilkanaście zaledwie liczącego, to możesz na pewne niemal przypuszczać, że jestto wychowanek jednego z gimnazjów galicyjskich, lub litewskich, który, sprzykrzywszy sobie rygor szkolny w wolnej Ameryce, szuka zmiany na lepsze. Trudno może sobie wystawić, ilu łzami Ameryka jest zroszona, opłakującymi podobną lekkomyślność. W ostatnich dniach doszły nas wiadomości z różnych stron o kilkunastu młodych ludziach inteligentnych, którzy, przyparci głodem, wołają o pracę, o chleb! Niestety, nam obecnanym lepiej ze stosunkami tutejszymi, wiadomo, jak trudno, pomimo najszczerszych chęci, zadość uczynić podobnym głosom. Znajdźże zajęcie w Ameryce dla człowieka, niezdolnego do ciężkiej pracy, a przytem słowa po angielsku nierozumiejącego!...

Temi to głosami spowodowani jesteśmy do wypowiedzenia tych paru wyrazów, które niechaj będą przestrogą dla naszej młodzieży. Bracia, wierzajcie nam, ostrzegając was przed wychodźtwem do Ameryki, czynimy może wprost wbrew naszym interesom: nam brak inteligencji prawdziwej, a tak nam jej potrzeba! Ale pomimo to, poczucie obowiązku dyktuje nam te słowa, które oby się dostały tam, skąd przybywa tu tyle pięknych sił młodzieńczych, potrzebnych dla ojczyzny, które tu tak często marnie giną!“

Uczciwy głos!..

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

P. J. Goryca w Audenried (Ameryka). Dwa dolary otrzymaliśmy. Zaległe numera wysłane, wraz z początkiem drukującej się powieści w dodatku: „Nasze życie“.

Fabryka parowa cykorji i surogatów kawy, oraz kawy figowej pana Antoniego Rozmanita w Rakowicach pod Krakowem rozwinęła się na tak wielką skalę, że w świecie przemysłowo-fabrycznym, w ogóle zajęła, niezawodnie, pierwszorzędne stanowisko. Złożyły się na to: nieodzowna potrzeba dla kraju takiej fabryki, doskonałe jej i wzorowe prowadzenie, rzetelność we wszelkiego rodzaju stosunkach, wyborny i zdrowy produkt wychodzący z tej fabryki i nareszcie, praca ciągła, systematyczna i wytrwała.

Wszelkie zagraniczne cykorje i surogaty nie mogą iść nawet w porównaniu, ani pod względem dobroci, ani pod względem ceny z wyrobami krajowej fabryki pana Antoniego Rozmanita.

Reprezentantem i dzielnym współpracownikiem pana Antoniego Rozmanita, jest pan Adolf Baum.

Ze względu, iż c. k. Rząd podwyższył należytość cłową od wprowadzenia korzeni cykorji — dla producentów tutejszych byłoby pożytecznem, aby produkt ten u nas uprawiać, coby się opłaciło lepiej, jak zboże, a nawet jak pszenica, a Tarnowska fabryka cykorji, zakupywałaby na wielką skalę korzeń cykorji i chętnie weszłaby w kontraktowe układy z producentami. 3459-3-1

Mozes Rapp przedsiębiorca budowniczy wybudował obecnie 6 domów przy ul. Janowskiej i na początku Kleparowskiej, które to ulice wiele na tem zyskały, gdyż dawniej ogromnie były zaniedbane. Z powodu tych nowych pięknych budowli Świetny Magistrat dał te ulice wybrukować i wysadzić drzewami. Spodziewać się można, że te ulice w krótkim czasie będą najpiękniejsze, gdy tamtędy przechodzić będzie projektowany tramway parowy i najlepsze mieszkania będą na tychże z powodu świeżego i zdrowego powietrza.

Domy zbudowane są z najlepszego materjału suchego — tak, że nie pozostaje nic do życzenia. (4533 1—1)

Wielki skład win Ozjasza Bardt we Lwowie za rogatką żółkiewską, posiada wszelkie gatunki wybornego wina czystego i zdrowego. Poleca ten wielki skład win wszelkim zakładom publicznym, oraz domom prywatnym i zapewnia, że każdy będzie zadowolony, gdyż piwnica i cały interes prowadzony jest sumiennie, starannie i pracowicie.

W sezonie kąpielowym nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę podróżnych, na restaurację na dworcu kolejowym w Tarnowie prowadzoną starannie, a posiadającą kuchnię zdrową i smaczną, piwo wyborne, oraz piwnicę zaopatrzoną w dobre wina i wszelkiego rodzaju napoje. Właścicielką tej restauracji jest pani Mina Nadel, a zarządzającym pan Dawid Rausch odznaczający się niepospolitą rzetelnością, uprzejmością dla gości i dbałością o czystość i porządek. 3—1)

Najlepsza i najtrwalsza farba do podłóg w różnych kolorach ciemnych i jasnych, jest w *Magazynie farb i Materjałów* **Wolfa Czoppa** *we Lwowie ul. Żółkiewska l. 2.* Nie jest to czcza reklama, lecz rzetelna prawda, o czem każdy przekonać się może. Taniej też jest, jak gdzieindziej. Firma ta znana jest od lat kilkudziesięciu. (4516-3—1)

Jan Lewiński architekt, przeniósł swoje mieszkanie i kancelarję we Lwowie na plac Kapitulny l. 7. (4520 2—4)

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn

Z drukarni „Gazety Narodowej" ulica Kopernika l. 5. Telefon Nr. 117.

Dodatek powieściowy na dalszych stronnicach.